

MAREK ŻMIGRODZKI

ur. 1946; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Projekt Lublin. Opowieść o mieście, dzieciństwo, historia ojca, śmierć ojca, warunki życia, ulica Skłodowskiej, wyrzucenie z mieszkania, rodzice, dowcipy polityczne, edukacja

Moje dzieciństwo i dojrzewanie, to jest takie dojrzewanie pólseroty

Czasami trudno mówić o swoim dzieciństwie. Zwłaszcza o swoim może być mi trudno, bo nie najlepiej się to wszystko układało. Urodziłem się w Lublinie „już w Lublinie”, bo ojciec był adwokatem w Kowlu. Tam miał piękną kancelarię, całe masy klientów, był jednym z najbardziej znanych adwokatów. Jeździł na sprawy: Łuck, Równe, Stanisławów. No, ale wiadomo – przyszła wojna, wpakowali go do obozu koncentracyjnego. Cudem mama go stamtąd uratowała. Ale z kolei zapadł na zdrowiu. Kiedy ja już przyszedłem na świat po wojnie, to on już się nie najlepiej czuł, chorował i w związku z tym mama wiedziała, że to długo nie potrwa - i rzeczywiście tak się stało. Tak że moje dzieciństwo i dojrzewanie, to jest takie dojrzewanie sieroty, pólseroty. Mama musiała zająć się pracą zawodową, żeby nas jakoś utrzymać. No, różnie to szło. Była sekretarką. Ojciec jej nie pozwolił studiować. Nie pozwolił jej, bo chciał, żeby ją mieć dla domu i dla rodziny. Ale to się okazało fatalne. Był znanym adwokatem, nieźle zarabiał. Nieźle? Bardzo dobrze zarabiał i kiedy zmarł, matka mogłaby kontynuować to, bo była bardzo inteligentna, świetne rozeznanie miała przy ojcu, któremu pomagała prowadzić kancelarię. Nauczyła się prawa, [ponieważ] wychodziła z nim na sprawy, bo on był chory ciężko. I szkoda, że nie skończyła, bo miałyby łatwiejsze życie, a tak na nas to spadło. Mama zebrała trzech braci, ja byłem najmłodszy i zaczęła opowiadać o innej wdowie adwokata, mniejsza o nazwisko, która nie wiedziała, co zrobić po śmierci męża i wycofała synów ze szkół, posłała ich do pracy, żeby się utrzymać przy życiu. A to był okres powojenny, nie były to łatwe rzeczy. Druga sprawa, która rzutowała, zresztą przez długie lata jeszcze, jak byłem już w szkole, na studiach, to to, że ojciec był nieprzejednanym zwolennikiem czasów, które były, a nie tych, które nastąpiły. Oczywiście czekał na Andersa na białym koniu, jak zwykle. Często opowiadał dowcipy polityczne, za które ponosił srogie konsekwencje, bo po prostu szykanowano go domiarami i to co najgorsze, to

wyrzucali nas z mieszkań. Pierwszy raz, jak miałem trzy lata. Mieszkaliśmy na Skłodowskiej, i nie daleko był Dom Partii, w którym szefową „Sztandaru Ludu” była Sara Nomberg, tak się nazywała, to takie pochodzenie, no z nazwiska można się domyślać jakie. No i ona potrzebowała mieć mieszkanie gdzieś, żeby miała blisko do pracy i mówi, że na Skłodowskiej, to będzie dobrze. A trzeba trafu, że było Boże Ciało i ludzie dywaniki wywieszali, co było w tamtych czasach zakazane. I ojciec też wywiesił dywanik. I szło dwóch cichociemnych, w przenośni mówiąc, i spisywali adresy. Boże Ciało było w czerwcu, to w Wigilię rano gdzieś koło dziewiątej, dziesiątej przyszli panowie i powiedzieli, żebyśmy natychmiast opuścili to mieszkanie. W Wigilię. I matka wzięła za ręce dzieci, meble na korytarz. Porozprowadzała nas po rodzinie. To było pierwsze wyrzucenie nas z mieszkania. Później były jeszcze kolejne. Dawali ojcu gdzieś jakieś klity, żeby utracić jego możliwość uprawiania zawodu adwokackiego. Ale ojca [ludzie] szanowali, był świetnym fachowcem, [choć] w domu był ciężki do życia, bardzo trudny, podziwiam matkę, że z nim tyle wytrzymała, ale jako adwokat był świetny. Mówił do mamy: „Słuchaj, mnie i na śmietniku ludzie znajdą”. I rzeczywiście, był znakomitym adwokatem. Niektóre jego powiedzenia pamiętam, między innymi takie: „Ja z dachu nigdy nie spadnę, bo ja na niego nigdy nie wejdę”. Później mówił w ten sposób, że: „Nigdy nie zostanę wyrzucony z PZPR-u, dlatego, że ja się nigdy do niego nie zapiszę”. To był człowiek z zasadami. Miał pięćdziesiąt jeden lat kiedy umarł, zostawił rodzinę. Wolałbym, żeby był mniej dowcipny, bo to były czasy inwigilacji. Zwłaszcza lata pięćdziesiąte, to była kompletna inwigilacja. Ponieważ to było środowisko adwokatów, sędziów, inżynierów, prezesów, tej inteligencji, która przeżyła wojnę, i oni się tak z życia potrafili cieszyć, że co pewien czas u innego robili przyjęcia. To był taki sposób na radowanie się z życia, i z tego, że się przeżyło. No i oczywiście ojciec brylował, dowcipy polityczne opowiadał różne, a nie wiedział o tym, może się domyślał albo specjalnie to robił, że na przyjęciu był pan X i Y, nazwisk nie będę wymieniał, którzy już idąc z przyjęcia od ojca nad ranem, godzina czwarta, piąta, żeby nie zapomnieć tych dowcipów, wstępowali do UB i tam mówili, co mecenas Żmigrodzki mówił na przyjęciu, z czego żarty sobie robił. To mu nie ułatwiało życia. A jak jemu, to i nam. Brata najstarszego nie chcieli przyjąć do szkoły. Nie chcieli go przyjąć do Staszica. Matka była zdesperowana. Jak nas wyrzucili z mieszkania, ojciec nie wiedział co ma robić w sumie, no bo troje dzieci. Kupił jakiś plac na Sławinku, wtedy tam łany zbóż szumiały – wieś Sławinek, gmina Konopnica – jak dziś pamiętam. Wybudował dom z czerwonej cegły i klepisko było, bo nie zdążył jeszcze [podłogi zrobić]. Ja tam mieszkałem, do tej pory jeszcze mam w korzonkach. Jak przez mgłę pamiętam, bo miałem ze trzy lata. I co zrobić? Mama się zdenerwowała, ojciec powiedział: „Nie, ja go będę prywatnie uczył, przyjdą korepetytorzy”. A mama: „Nie, korepetytorzy, to mogą przyjść i nauczyć. Ale jeśli się nie ma świadectw odpowiednich ze szkół ukończenia, to zablokujesz dojście do wykształcenia swojemu dziecku. Idę walczyć o niego. Idę do Komitetu”. No dobrze, do Komitetu, ale tu wieś Sławinek jest, dziecko

trzyletnie w domu, czyli ja – co zrobić? Mama zaczęła główkować i tak: zamknęła dom na klucz, żeby złodziej nie wszedł, bo to wtedy chodzili i zamknęła na klucz furtkę, żebym ja nie wyszedł za ogrodzenie. Rzuciła mi kosz, koc pod jabłonkę, kanapki jakieś w cień, i poszła do Komitetu. Wdała się w rozmowę z towarzyszem sekretarzem, że ona musi syna kształcić. I wtedy o dziwo – czy to cud, czy nie cud, w każdym razie brata przyjęli do Staszica i skończył. Ale oczywiście nie miał stypendium, mój drugi brat nie miał, ani ja nie miałem stypendium. Na studiach również nie należało mi się stypendium. Przeszedłem przez tę kwalifikację socjalną, że nie mam ojca, bo sieroty i półsieroty otrzymywały w pierwszej kolejności. Ale później jak dochodziła komisja społeczna – też nie chcę nazwisk wymieniać, ale towarzysze się zbierali: „Nie, to jest syn przedwojennego adwokata i przeciwnika władzy ludowej, to jemu się nie należy. Niech sobie żyje sam”. No i wtedy szukaliśmy różnych sposobów na przeżycie. A mój świętej pamięci tatuś był bardzo dla nas surowy. Ciężko wspominać, dyscyplinę zachowywał aż za bardzo, ale uczył nas perfekcjonizmu. Być może dzięki tym zasadom, które zdążył w nas wpoić jeszcze, może dlategośmy przeżyli, może dlategośmy wyrosli na ludzi jednak. Ojciec zawsze mówił w ten sposób: „Pamiętaj, że jeżeli weźmiesz pięciozłotówkę i z piętnastu metrów będziesz pluł i za każdym razem trafisz w pięciozłotówkę, to będziesz z tego mógł żyć”. Czyli – cokolwiek robisz, to staraj się robić to jak najlepiej. Stąd z braćmi się staraliśmy.

Data i miejsce nagrania	2017-04-27, Lublin
Rozmawiał/a	Joanna Majdanik
Redakcja	Piotr Lasota
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"